

ANTYATOMOWY AKTYWISTA W SEJMIE. RELACJA ZE SPOTKANIA Z MYCLE SCHNEIDEREM

Byłem na zorganizowanej przez Partię Zieloni debacie z antyatomowym aktywistą Mycle Schneiderem. Jej przebieg nie tylko nie odstraszył od energetyki jądrowej, ale też wykazał istotne błędy w rozumowaniu głównego gościa – pisze red. Jakub Wiech.

Zorganizowana przez Zielonych debata już od dłuższego czasu wywoływała spore emocje. Zaproszony gość – Mycle Schneider – to znany w środowisku energetycznym aktywista antyatomowy, publikujący regularnie raporty o stanie przemysłu jądrowego (The World Nuclear Industry Status Reports). Dokumenty te, mające być dowodem na pogarszającą się sytuację branży atomowej, są szeroko opisywane przez media oraz często używane jako argument w dyskusjach ze zwolennikami „jądrowek”. Raportami Schneidera interesuje się żywo środowisko europejskich Zielonych, które omawiało je nawet na forum Parlamentu Europejskiego. Jednakże dokumenty te nie są recenzowane, a do opisywanej materii podchodzą dość specyficznie, tj. opierając się w bardzo dużym stopniu na pracach innych badaczy o antyatomowych poglądach (np. Amory’ego Lovinsa). Dlatego też w argumentacji Schneidera łatwo znaleźć istotne luki czy przemilczenia – co też stało się podczas debaty.

Sam Schneider jest – według dostępnych źródeł – samoukiem. Nie posiada wykształcenia kierunkowego w zakresie energetyki. Polscy Zieloni, informując o debacie, przedstawili go jako doktora, co nie jest prawdą. Nie posiada on bowiem tego stopnia, w ogóle ustalenie jego dokładnego wykształcenia jest trudne, gdyż w biogramach podanych na różnych stronach internetowych Schneider nie legitymuje się dyplomem żadnej uczelni.

Zastrzeżenia można też mieć do kształtu debaty opracowanego przez Zielonych – Schneider nie został bowiem skontrowany z żadnym ekspertem o przeciwstawnych poglądach w ramach panelu „1 na 1”. Na spotkaniu, które odbyło się w polskim Sejmie, miał on ponad godzinę na prezentację swoich danych, po czym nastąpiła właściwa debata, polegająca na pytaniach z sali. Warto tu jednak podkreślić, że odpowiedzialna za organizację i prowadzenie debaty posłanka Urszula Zielińska wywiązała się ze swej roli wzorowo i ostatecznie formuła spotkania nie wpłynęła na jego odbiór.

Schneider poświęcił lwią część wystąpienia dokładnemu opisowi sytuacji branży jądrowej na świecie. Zaprezentował bardzo wiele różnorodnych danych, których użył w podsumowaniu jako wytłumaczenia swych antyatomowych tez, wskazujących, że „jądrowki” nie pomogą w rozwiązywaniu problemu globalnego ocieplenia i przegrywają konkurencję z odnawialnymi źródłami energii.

Gość debaty mówił m.in. o zamykanych reaktorach jądrowych w Europie, wykazując, że technologia ta wyraźnie się „zwija”. Schneider nie potrafił jednak odpowiedzieć na moje pytanie, ile z tych jednostek zostało zamknięte wyłącznie z przyczyn politycznych (czyli m.in. tak, jak ma to miejsce w Niemczech). Zamiast tego usłyszałem, że te „polityczne powody” często wynikają z demokratycznej woli społeczeństwa. Problem polega na tym, że ta „wola” została w wielu przypadkach ukształtowana

przez lata siania antyatomowych fobii i strachu – wystarczy bowiem rzut oka na statystyki (m.in. te zaprezentowane przez Jamesa Concé), by przekonać się, że energetyka jądrowa jest najbezpieczniejszym z dostępnych źródeł energii. W takich sytuacjach to rolę państwa jest przedstawienie obywatelom rzetelnego obrazu sytuacji i wskazanie, że to, czego się boją jest niekiedy receptą na poważniejsze problemy. Tak jest w przypadku energetyki jądrowej, która przez Międzyrządowy Panel ds. Zmian Klimatu uważana jest za praktycznie niezbędną do wyhamowania globalnego ocieplenia. Tymczasem, idąc tropem myślenia Schneidera, można dojść do wniosku, że społeczność międzynarodowa nie ma prawa naciskania na USA w zakresie działań na rzecz ochrony klimatu, gdyż Amerykanie w sposób demokratyczny wybrali sobie prezydenta, który uważa całą sprawę wzrostu średniej światowej temperatury za oszustwo. W błędzie byłiby także ci, którzy powyższe słowa uznali za przejaw statolatrii – nie, po prostu na pewnych polach, dobrze opisanych przez naukowców, państwo powinno słuchać właśnie wyszkolonych ekspertów, przedstawiających rzeczywistość za pomocą aparatu naukowego, i w oparciu o ich wskazania kształtować swoje polityki. Tak dzieje się na przykład w kwestii szczepień. Tymczasem, niektóre państwa w Europie walczą z energetyką jądrową wbrew nauce, natomiast w zgodzie ze swoim partykularnym interesem – Niemcy, wycinające atom w UE na potrzeby handlu gazem z magistrali Nord Stream – są tego najjaskrawszym przykładem.

Argument Schneidera z zamykanymi elektrowniami jądrowymi rozbija się o jeszcze jeden szczegół – w UE atom (zwalczany i wypychany z miks) odpowiada wciąż za 25% produkcji energii elektrycznej, a dwa sztandarowe źródła odnawialne, czyli wiatr i słońce (wspomagane różnymi mechanizmami pomocowymi) za jedynie 16%. Informacja ta psuje też wydźwięk innego materiału zaprezentowanego przez Schneidera, tj. wykresu przyrostu mocy zainstalowanej w Europie w latach 2000-2018. Według tego wskaźnika wiatr i słońce biją atom na łeb, na szyję – w ciągu 20 lat moce zainstalowane w UE w tych dwóch technologiach wzrosły bowiem o 280 GW, a te w atomie spadły o 19. Realny obraz sytuacji wygląda jednak tak, że to właśnie atom jest wciąż największym źródłem czystej energii na Starym Kontynencie.

Podczas prezentacji Schneider wskazał też dane dotyczące czasu, jaki potrzebny jest na budowę elektrowni jądrowych w różnych krajach świata. Z tabelki, jaką zaprezentował wynika, że konstrukcja takiej jednostki może zająć najmniej... 4 lata – tyle bowiem wynosi rekordowy czas od momentu pierwszej wylewki betonu do podpięcia bloku do sieci w Chinach i Korei Południowej (średni czas budowy EJ w tych krajach to 6 lat). Niewiele dłużej buduje się „jadrówki” w Pakistanie (średni czas: 5 lat) i Indiach (średni czas: 10 lat). Na antypodach tabeli znalazły się USA (średni czas: 43 lata). Globalnie elektrownie jądrowe stawia się średnio w 10 lat. Dane te psują argument antyatomowców, którzy podkreślają, że atom buduje się zbyt długo. Informacje przedstawione przez Schneidera mogą służyć również za punkt wyjścia do dyskusji o możliwych usprawnieniach proceduralnych, które pomogłyby skrócić czas budowy EJ w krajach, gdzie proces ten się przeciąga.

Co ciekawe, podczas omawiania przykładu odchodzących z atomu Niemców, Schneider powiedział, że „dyskusyjne jest”, czy zaobserwowany wraz ze wzrostem udziału OZE wzrost zużycia gazu ziemnego to rzecz dobra czy zła. Wywołało to uśmiechy na twarzach zgromadzonych ludzi – trudno bowiem uwierzyć, że ekspert starający się wskazać właściwe rozwiązanie w kwestii ochrony ludzkości przed katastrofą klimatyczną zastanawia się, czy skok zużycia paliwa kopalnego (udział gazu w niemieckim miksie jest obecnie największy w historii) jest z punktu widzenia klimatu czymś dobrym czy złym. Na moje pytanie o ten fragment wypowiedzi Schneider powiedział jedynie, że patrząc na emisje, to trend ten jest zły, ale do emisji nie wolno się ograniczać. Zaproszony przez Zielonych gość nie umiał udzielić mi odpowiedzi na pytanie, czy wolałby oszczędzić niemiecką elektrownię jądrową w Philippsburgu czy uruchomić nowe moce w energetyce gazowej – zamiast tego uciekł w coś w rodzaju manipulacji porównując stare reaktory II generacji z Fessenheim do nowych farm wiatrowych offshore.

Schneider nie umiał też odpowiedzieć na pytanie dotyczące... jego własnych wykresów. Jedna z

obecnych na sali osób zapytała go bowiem, dlaczego uważa, że atom jest nieopłacalny, skoro z jego własnych danych dot. wzrostu inwestycji w EJ i OZE wynika, że atom dał 1/6 rezultatu OZE za jedynie 1/10 kwoty przeznaczonej na rozwój źródeł odnawialnych. Ekspert stwierdził, że te sytuacje są... nieporównywalne.

Gość debaty uchylił się też od pełnej odpowiedzi na pytanie o wpływ jego i podobnych jemu aktywistów antyatomowych na rozwój sektora jądrowego na świecie.

Podsumowując: debata z Mycle Schneiderem raczej nie zniechęciła do atomu nikogo, kto chciałby wyrobić sobie na jej podstawie opinię na temat energetyki jądrowej. Wnioski, jakie wyciągnął on z przedstawionych przez siebie danych zostały dość łatwo nadwątlone przez zgromadzoną na sali publiczność. Dlatego też tym większym zaskoczeniem jest fakt, że prezentowane przez Schneidera i jego współpracowników raporty wywołują tak duże poruszenie w przestrzeni medialnej.